GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 GRUDNIA 1937 R.

Nr. 23 ROK VII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 23
1937 R.
15 — XII

STALI WSPÓŁPRACOWNICY: CZESŁAW BOBROWSKI, HENRYK GRENIEWSKI, STANISŁAW GRYZIEWICZ, ALEKSANDER IVANKA, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, MICHAŁ KACZOROWSKI, PIOTR KALTENBERG, ZDZISŁAW ŁOPIEŃSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, STEFAN MEYER, JÓZEF PONIATOWSKI, WITOLD PTASZYŃSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI JACEK RUDZIŃSKI, redaktor

KAZIMIERZ BRODNICKI

ORZEŁ CZY RESZKA?

Próba dialogu.

Gaweł: — Czytałeś sprawozdania i reportaże z wycieczki do Centralnego Okręgu Przemysłowego?

Paweł: — I owszem, czytałem. Znajduję w nich dużo pierwszorzędnego materiału obserwacyjnego.

Gaweł: — Jak to: tylko tyle? A wnioski, które się narzucają same przez się?...

Paweł: — Wniosków nie znalazłem. To znaczy nie stwierdziłem istnienia w tych sprawozdaniach takich wniosków, które by mówiły o wyższości metody gospodarczej, przyjętej w Okręgu Centralnym. Opisy i wrażenia, z którymi mogłem się zapoznać dzięki prasie, nie zawierają ocen ani perspektyw, przeważa w nich bowiem element emocjonalny o charakterze, przyznaję, nie szablonowym. Mało w nich konstruktywizmu, bardzo wiele natomiast entuzjazmu.

Gaweł: — Otóż to właśnie: entuzjazmu... Czekałem, aż wykrztusisz słowo, które, nie mieszcząc się w słowniku ekonomisty, mieści się jednak w tornistrze każdego z tych żołnierzy pracy, którzy budują Centralny Okręg Przemysłowy. Ty i tobie podobni trzeźwi ekonomiści nie doceniacie roli, jaką w życiu społeczeństw, zwłaszcza takich jak polskie, odgrywają pierwiastki uczuciowe, co więcej — duchowe.

Paweł: — Wiem, wiem: „nie samym chlebem człowiek żyje".

Gaweł: — Nie o to chodzi. Zwróć uwagę na stosunek polskiego obywatela, w pierwszej linii tzw. inteligenta, do twórczości gospodarczej. Stosunek ten jest w najlepszym razie obojętny, normalnie zaś krytyczny, sceptyczny, ironiczny lub — jak kto woli — nonszalancki i powierzchowny. I trzeba było dopiero realizacji pozornie tak prostego planu, jak uprzemysłowienie Polski środkowej, żeby polskie niemrawe serce żywiej zabiło, żeby prosty człowiek zainteresował się polską gospodarczą racją stanu, a zarozumiały inteligent przestał psioczyć i wydziwiać.

Paweł: — Jakie stąd wyciągasz wnioski?

Gaweł: — Wniosek mój jest prosty: w Polsce entuzjazm, nie sensację, wywołują tylko fakty publiczne, t. zn. wielkie dokonania, których autorem i aktorem było państwo, wspólne nasze dobro. Przykład Gdyni, w którą nikt przedtem nie wierzył, dopóki go państwo nie zaprowadziło nad bursztynowy brzeg Bałtyku, a teraz przykład Rzeszowa i Sandomierza, gdzie ludzie żyli jak za króla Ćwieczka i nie wierzyli, by można żyć inaczej, głębiej, szerzej: oto dowody tego, co powiedziałem. I dlatego dodam, że w społeczeństwie polskim, w którym myślenie kapitalistyczne nie jest tak rozpowszechnione, jak gdzie indziej, pozytywny stosunek do czyjejś pracy wywołuje tylko to, co robi państwo. Bo czyni to bezinteresownie, dla dobra ogółu, jak myśli prosty człowiek w Polsce, który wie z własnego doświadczenia, w którym miejscu Polska znajduje się na liście dochodu społecznego.

Paweł: — W swym entuzjazmie dla gospodarczej pracy państwa nie dostrzegasz zupełnie czynnika tzw. inicjatywy prywatnej, dostatecznie zresztą skrytykowanej i ośmieszonej. Wydaje mi się jednak, że z natury rzeczy nie wolno przykładać jednolitej miary do dwuch tak różnych dziedzin życia gospodarczego. Ziemia kręci się na osi, zawieszonej — jeśli się tak wyrazić można — pomiędzy dwoma biegunami,

z których jednym jest państwo, drugim — gospodarstwo prywatne, obliczone na zysk. Inicjatywa prywatna nie stara się i nie powinna się starać robić tego co siłą rzeczy należy do państwa lub gminy. I dlatego fakt, że lwią część dokonań w Okręgu Centralnym może na tym rachunku zapisać państwo, nie powinien wprowadzać cię w błąd, tem więcej, że dużo równie doniosłych, przełomowych dla naszego życia gospodarczego osiągnięć ma w swym dorobku i kapitał prywatny. Rezultaty pracy np. przemysłu chemicznego, elektrotechnicznego lub papierniczego, zdają się świadczyć pochlebnie o kierownikach i wykonawcach programu, który może nie wzbudzi entuzjazmu, ale który jest zdrowy i niezbędny.

Gaweł: — Czyż jednak prężność większości przemysłu w Polsce nie jest wynikiem kartelizacji i wysokiej ochrony celnej?

Paweł: — W dużym stopniu — tak. Ale nie zapominaj, że protektora wysokiej ochrony celnej znalazł przemysł przede wszystkim w wojsku, które jest czynnikiem neutralnym i obiektywnym, a problem przygotowania kraju na wypadek wojny wymaga niekiedy hołdowania zasadzie, że cel uświęca środki. Zresztą i kartelizacja i ochrona celna są wodą na młyn dla dużych przedsiębiorstw przemysłowych, które są atrakcyjne dla kapitału zagranicznego i umieją dać sobie radę (mniejsza z tem, w jaki sposób) z trudnościami, stanowiącemi dla przemysłu średniego i drobnego przeszkody często nie do przezwyciężenia. Zwrócę twoją uwagę także na fakt, iż polityka gospodarcza, uwzględniająca momenty wojenne, stoi raczej po stronie przedsiębiorstw wielkich, a nie średnich i małych. Wyjątki tylko potwierdzają regułę.

Gaweł: — Z kolei ja zapytam: cóż stąd za wniosek?

Paweł: — Chętnie wyjaśnię. Stawiam tezę, iż w naszej polityce gospodarczej motyw strukturalny, t. zn. wzgląd na konieczność stopniowej przebudowy struktury gospodarczej polskiego społeczeństwa, nie jest dostatecznie uwzględniany. Średni i mały przemysł i handel muszą mieć możność zaczerpnięcia pełnego oddechu, aby wyjść z pogrążającego ich i kraj prymitywizmu. I dlatego polityka gospodarcza powinna być prowadzona w ten sposób, żeby jak największa ilość zdrowych przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych miała szanse życia i rozwoju.

Gaweł: — Za pozwoleniem. Mówisz o konieczności ewolucyjnej przebudowy struktury polskiego gospodarstwa narodowego, ale pomijasz punkt, moim zdaniem, najbardziej istotny: ideę, program, hasło tej przebudowy.

Paweł: — Skłonny jestem twierdzić coś wręcz przeciwnego. My, Polacy, cierpimy na nadmiar programów i haseł. Ściślej zaś biorąc, odczuwamy nadmiar gadania o potrzebie istnienia programowych haseł i samych programów. Wszyscy wołają o program, o plan, ale mało kto wie, o jaki mu program chodzi. Zamiast deklamować na temat np. „frontem do wsi" lepiej by unormować — prawnie czy organizacyjnie — sposób przechowywania obornika na wsi, w zagrodach chłopskich. Obornik się marnuje, bo mało kto umie go umiejętnie przechować, ale frazesów o przyszłości drobnego rolnictwa mamy aż nadto.

Gaweł: — Sprowadzasz sprawy zasadnicze do drobiazgów. Tymczasem naszym zadaniem jest wykreślanie linii kierunkowych, bez których kroczyć będziemy po omacku, marnując czas, siły, wiarę i zapał. Trzeba wiedzieć, dokąd idziemy. Młodzież czeka na przewrót...

Paweł: — Młodzież czeka na pracę, na zarobek, nie na przewrót. A jeżeli istotnie oczekuje przewrotu, to właśnie dlatego, że nie ma pracy.

Gaweł: — Tak, ale młodzi, jak wszyscy młodzi, są niespokojni. Czekać nie zechcą, a kto wie, czy mogą czekać. Nie są przecież pokoleniem starszym, dojrzałym, doświadczonym i — zmęczonym. I dlatego nie potrafią oni zgodzić się ze zwolennikami polityki, opartej na zdrowym rozsądku i ewolucji, gdyż nie wierzą, aby czekanie wyszło Polsce na zdrowie.

Paweł: — A więc kwestia tempa i metody?

Gaweł: — Tak jest. Bo Polska weszła do rodziny wolnych narodów europejskich tak mocno spóźniona w swym rozwoju gospodarczym, że musi albo zwielokrotnić wysiłek dogonienia Europy, albo — za przykładem Japonii z ubiegłego stulecia — przeskoczyć po prostu wiek XIX, wiek młodego, dojrzewającego kapitalizmu.

Paweł: — Przeskoczyć, tkwiąc jedną nogą w tym kapitalizmie?

Gaweł: — Rozumiem i doceniam trudność sytuacji, bo wiem przecież, że Polska nie posiada jednolitej struktury gospodarczej i jest raczej pod tym względem „krainą przejściową".

Paweł: — A więc?

Gaweł: — Nie: „a więc", lecz: pomimo to. Właśnie dlatego, żeśmy częściowo o wiek XIX zdążyli zahaczyć, musimy i możemy wejść czy wskoczyć od razu „in medias res". Zresztą twierdzę, że w dzisiejszym układzie sił na świecie ewolucyjne metody nie znajdują odpowiedniego podłoża. A ponadto, czyż możemy się upierać przy poglądzie, że w Polsce istnieje np. europejski proces kapitalizacyjny? To, co się u nas nazywa kapitalizacją, jest tak bardzo skromne i niemrawe, że trudno wierzyć, abyśmy metodą: „jakoś to będzie" doszli do rozkwitu i zamożności kraju i społeczeństwa. Społeczeństwo polskie wydaje się zaś dziwnie niedopasowane do kapitalistycznego systemu myślenia i działania.

Paweł: — To bardzo źle i dlatego trzeba je do takiego myślenia i postępowania wdrażać.

Gaweł: — O ile jeszcze czas po temu. Nie jesteśmy przecież sami, nie żyjemy na izolowanej wyspie. Przeciwnie: otaczają nas państwa o totalistyczno - rewolucyjnej mentalności, rozwiązujące trudności gospodarcze sposobami, nieznanymi zupełnie ubiegłemu stuleciu. A to obowiązuje.

Paweł: — Jak to? Tak bezkrytycznie?

Gaweł: — Nic podobnego. Ale gdy dokoła zagadnienia gospodarcze i związane z nimi problemy socjalne rozstrzygane są nie na modłę krawca, lecz Fidiasza, gdy zresztą — co jest sprawą ważniejszą — sytuacja nasza jest upodobniona do ich sytuacji...

Paweł: — Jakim sposobem?...

Gaweł: — Bardzo prosto: Polska należy do grupy krajów niezaspokojonych, będących na dorobku, historycznie pokrzywdzonych, odsuniętych w cień. A przecież mamy ambicje mocarstwowe. Jeśli to ma nie być tylko frazes, trzeba słowu: „mocarstwowość" nadać treść głębszą i szerszą zarazem, rozciągając ją na dziedzinę gospodarczą.

Paweł: — Wątpię, aby Polska, aczkolwiek jest rzeczywiście krajem niezaspokojonym, weszła kiedykolwiek do rodziny państw totalnych. W naszym klimacie, rozumianym fizycznie i moralnie, trudno sobie wyobrazić podobny ustrój. Najlepszym dowodem, że obóz legionowo - peowiacki, biorący odpowiedzialność za rządy Polską, kategorycznie wyparł się totalizmu, a więc i totalizmu gospodarczego. Zresztą, gdyby nawet postąpił odwrotnie, widziałbym w tem jedynie manewr taktyczno - polityczny. Bo na serio myśleć o totalizmie, „gospodarce kierowanej" czy planowej jest doprawdy bardzo trudno.

Gaweł: — Dlaczego?

Paweł: — Przyczyn jest wiele. Po pierwsze — brak nam po temu warunków obiektywnych. Nie mamy wyrównanej struktury socjalnej i gospodarczej, odczuwamy liczbowy przerost drobnych przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, posiadamy wielki odsetek żydów, obojętnych dla idei gospodarki planowej opartej na przesłankach dobra narodu polskiego, itd. Po drugie — nie jesteśmy łatwą pożywką dla szlachetnych bakterii karności, jednolitości, solidarności; daleko nam do typu niemieckiego, a od Włochów różni nas brak powszechnego i stałego entuzjazmu. Jesteśmy nadal narodem sceptyków i „mądrali". Po trzecie — totalizm i „gospodarka kierowana" wymagają nie tylko mądrych głów, ale i sprawnych rąk. Obawiam się, że w tym stanie rzeczy, jaki istnieje w Polsce, można wydać sto dobrych ustaw, ale dobrze wykona się tylko jedną. W kraju, gdzie się nagminnie obchodzi rocznice i prawo, trudno mówić o sprawnym funkcjonowaniu skomplikowanego aparatu planowania, kontrolowania, nastawiania itp.

Gaweł: — Powiedziałeś jednak uprzednio, że nasza struktura społeczna i gospodarcza wymaga wyrównania. Czy jest przeto możliwe, w atmosferze „doskonałej obojętności" państwa na sprawy przebudowy tej struktury dokonać procesu pchnięcia Polski na bliższe miejsce w kolejce państw Europy?

Paweł: — Przede wszystkim nie ma mowy o „doskonałej obojętności" państwa. Trzeba być upartym maniakiem, żeby kazać państwu wracać do roli stróża nocnego. I żadne państwo, nawet Anglia i Francja, takiej roli dziś się nie podejmie. Ale stąd do totalizmu krok jeszcze daleki. Co się zaś tyczy polityki przebudowy strukturalnej albo, inaczej się wyrażając, polityki zagospodarowania, to musi być ona obliczona na długą metę i kilka pokoleń...

Gaweł: — Nie mamy czasu na czekanie.

Paweł: — My, to znaczy współczesne pokolenie? Ależ na nas nie kończy się Polska.

Gaweł: — Słusznie. Ale sytuacja geo-polityczna...

Paweł: — ...która jest w dużym stopniu zmienna...

Gaweł: — ...wymaga, abyśmy z zastosowaniem metod nawet brutalnych, nawet niedoskonałych, nawet niedociągniętych nie zwlekali do momentu, kiedy i tak będą one musiały wejść do repertuaru naszej polityki gospodarczej, tylko, że wówczas będą jeszcze mniej doskonałe.

Paweł: — A jak w takim razie będzie wyglądała przebudowa struktury gospodarczej? Przecież polityka „Sofort-Programm'u" jest tej przebudowie naturalnie wroga, co najmniej zaś obca.

Gaweł: — Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Niewątpliwie polityka zagospodarowania musi ucierpieć, gdy społeczeństwo zostanie zmobilizowane pod hasłem „wszystko dla państwa". Ale to trudno. Jesteśmy zresztą do tego zmuszeni i — przyzwyczajeni. W Polsce, nękanej wojnami, z reguły obronnemi, zagadnienia typu, że się tak wyrażę, wojennego muszą się wysunąć na czoło kosztem innych zagadnień, nie przeczę, że bardzo ważnych, ale w naszych warunkach zupełnie drugorzędnych. I co jak co, ale właśnie mobilizacja społeczeństwa pod wspomnianym przeze mnie hasłem będzie sprzyjała przebudowie strukturalnej (kto wie czy nie brutalnej, w każdym zaś razie niedoskonałej), gdyż usankcjonuje duże ofiary społeczeństwa w imię dobra wyższego rzędu.

Paweł: — Wydaje mi się, że obydwaj mamy rację. Twój dynamiczny, a mój statyczny charakter polityki gospodarczej, w której państwo zawsze będzie czynnikiem decydującym, stanowią dwie różne strony tego samego medalu. Trzeba jednak wybierać pomiędzy jednym a drugim. Nie chodzi o to, czyja racja lepsza, lecz o to, którą wybrać w danym okresie historii.

Gaweł: — A jeżeli nie wybierzemy jednej z dwuch koncepcyj, tylko przyjmiemy trzecią: kompromisową?

Paweł: — Wówczas będzie tak, jak jest obecnie. Historia oceni, czy tak było najlepiej. Istnieją ludzie, a sądzę, że mają za sobą większość, którzy twierdzą, iż inaczej nawet być nie może. I kto wie, czy właśnie nie na tem polega sztuka rządzenia...

WŁADYSŁAW LEWANDOWSKI

ŚWIAT PLANUJE

„Idealem ogromnej części naszego kulturalnego społeczeństwa jest taka ekonomiczna struktura Polski, jaka odpowiadałaby środowisku europejskiemu z przed lat stu".

W ostatnim numerze „Gospodarki Narodowej" w notatce p.t. „Plagiat", z której cytuję powyżej umieszczone zdanie, autor wspólnie z publicystą ubiegłego stulecia, bardzo ostro i wnikliwie rysuje dzisiejszy stosunek Polaków do myśli i wielkiej pracy kulturalnej i gospodarczej Zachodu.

Stosunek ten nie uległ zmianie niestety w ciągu ostatniego trzydziestolecia. Więcej — krzywda dla naszego rozwoju, wynikająca z bierności w stosunku do wielkich przeobrażeń całego życia spółczesnego, a w pierwszym rzędzie Zachodu Europy, jest tem większa im większe i głębsze są te zmiany.

Ograniczę te uwagi do zagadnienia „planowania gospodarczego", które na Zachodzie Europy stało się dziś problemem, któremu społeczeństwa poświęcają nieustanną, wielką uwagę i pracę, wykonywaną przez naukę i gospodarkę, przemysł i organizacje pracowników i pracodawców, Państwo, samorząd terytorialny i polityków, t.j. wszystkie te ośrodki i czynniki, które bądź kierują gospodarstwem i sprawami społecznemi, bądź pragną na nie wpływać.

Do świadomości i woli naszego społeczeństwa nie dotarł dotąd fakt, że w latach ostatniego kryzysu dokonała się na Zachodzie i na całym świecie głęboka rewolucja myślenia gospodarczego.

Ta prawda dzisiejszego życia, że wiek nasz jest wiekiem „gospodarki planowej", że „planowanie" jest najistotniejszym odróżnieniem tego okresu od okresu wieku XIX, który cechowała przede wszystkim gospodarka indywidualna, liberalna, że dziś na skutek związania gospodarczego i głębokich przemian na rynkach zbytu, przede wszystkim na skutek utraty tych rynków przez państwa europejskie — jak i na skutek wielu innych przyczyn, których wyliczać tu nie będę szczegółowo, — „planowanie gospodarcze" jest prostą koniecznością życia, od której ochrony ani ucieczki być nie może.

Świadomość tego jest już dziś tak głęboka, że w podręcznikach uniwersyteckich i szkolnych angielskich, a więc kraju „demokratycznego" i najbardziej jeszcze „liberalnego", pisanych nie pod kątem tej czy innej doktryny gospodarczej, ale dla podania obiektywnego materiału, potrzebnego w propedeutyce ekonomii, ta prawda przeprowadza najistotniejszy podział między okresem gospodarki dziewiętnastowiecznej i spółczesnej.

To ma swoją wielką wymowę, gdy weźmie się pod uwagę z jaką ostrożnością i najczęściej z dużym opóźnieniem tego rodzaju poglądy, radykalnie zmieniające stosunek do niedawnej przeszłości, są wprowadzane do literatury podręcznikowej.

Bo też szybko, bardzo szybko dokonała się wielka rewolucja w myśleniu ekonomicznym, jak i w życiu gospodarczym, którą przez analogię do „rewolucji przemysłowej" można by nazwać „rewolucją planowania".

W ciągu ostatniego dziesięciolecia, na skutek szukania dróg walki z kryzysem, bezrobociem, dróg wyprowadzenia nagromadzonych w składach towarów w świat do konsumenta, dokonała się olbrzymia praca badawcza, która zrewidowała wiele szlaków dawnego myślenia. Przy pracy tej powstałe spory i walki oświetliły wiele zagadnień, poddały w wątpliwość, bądź naruszyły trwale, na zawsze wiele pewników i twierdzeń, obowiązujących dotąd w nauce i polityce gospodarczej.

Powstawała w tym okresie ogromna już dziś literatura o planowaniu gospodarczym, która idąc w czasie równolegle z wielkimi eksperymentami planowania opanowała opinię, przekonała sceptyków, że myśleć o gospodarowaniu trzeba dziś nie w skali indywidualnego fabrykanta i kupca.

Jak zawsze, tak i dziś nagły wzrost literatury specjalnych problemów zawdzięcza nauka ekonomii rozwojowi wielkich wydarzeń w życiu gospodarczym.

Szybko idą wypadki i już przypominać trzeba jak niedawno jeszcze żywe były nadzieje na powrót do „liberalizmu" dziewiętnastowiecznego, jak wszystko inne traktowane było jako przejściowe i nieistotne. To okres przecież „manifestu bankierów" i światowej konferencji gospodarczej.

Jeszcze kilka lat temu wielka część ekonomistów poddawała się złudzeniu, że uda się świat zawrócić z niebezpiecznej według nich drogi gospodarki planowej, interwencjonistycznej, na szeroką drogę nieskrępowanego rozwoju gospodarki liberalnej, w której procesy automatyczne sprawnie i najszybciej regulować miały i nadal narastające trudności.

Już niemal zupełnie z tymi złudzeniami nie można się spotkać, już wszyscy są zgodni, *że zbiorowe planowanie jest koniecznością, a problemem staje się jak planować i kto ma planować.*

Niewątpliwie nowoczesna teoria ekonomiczna, zapoczątkowana przez Jevons'a, Menger'a i Walras'a, rozwinięta później przez szkołę matematyczną ponosi „winę", jeśli tak można to nazwać, za opóźnienie uwagi ludzkości na problemy związane z planowaniem gospodarczym, przez zamknięte myślenie o gospodarce w wąskich ramach i przez narzucenie opinii świata, że w tych właśnie ramach myśl ekonomiczna najtrafniejsze będzie znajdowała rozwiązanie dla ogólnych i szczegółowych kwestii gospodarczych.

Ekonomia zajęta problemami wymiany i techniką pieniądza, zaniedbała badania problemów produkcji w jej całokształcie. Przede wszystkim nie odpowiadała na pytania zasadnicze, jakie procesy i warunki zachodzą, gdy się tworzą dobra zanim wejdą one w orbitę wymiany. Zajmowała się dobrem „wytworzonym", gotowym do wymiany, badała co dalej się dzieje, gdy dochodzi do tranzakcji kupna sprzedaży i kiedy do tej tranzakcji dochodzi.

Nieliczni ekonomiści spółcześni i końca ubiegłego stulecia, jak Georges Sorel, Werner Sombart, u nas Władysław Zawadzki, zajmowali się problemem produkcji szerzej, nie zdobyli sobie jednak szerszych rzesz słuchaczów i szerszych kół opinii.

Dopiero ostatnie dziesiątki lat, wielkie przeobrażenia gospodarcze i społeczne zwróciły uwagę powszechną na luki i braki w nauce ekonomii. Dlatego dziś nauka znalazła się wobec problemów planowania gospodarczego, jak wobec zupełnie nowych zagadnień.

Badań związanych z planowaniem nie ułatwiają przygotowania w badaniach produkcji, obejmujące szeroko zagadnienia nie tylko materialne, ale i w związaniu z duchowymi, psychicznymi.

Żądania ścisłej specjalizacji nauk drugiej połowy XIX wieku nie wyszły na dobre ekonomii jako nauce i ludzkości jako przedmiotowi tej nauki. Jest jasne, że specjalizacja w socjologii, psychologii, prawie, historii itd. jest nadal rzeczą nieodzowną, ale wyraźną koniecznością życia stało się powiązanie badań ekonomicznych z socjologicznymi, społecznymi i psychologicznymi, gdyż jedynie wtenczas badania procesów produkcji stają się żywe, związane z życiem.

Tak było przecież w stuleciach poprzednich. W siedemnastym i osiemnastym wieku nauki społeczne były naukami syntetycznemi. Istniała ścisła łączność między prawem, psychologią, etyką, a ekonomią.

Dopiero w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia ekonomiści dążyli do wyodrębnienia substancji ściśle ekonomicznej spośród innych kwestii, związanych z różnemi gałęziami nauk społecznych, jak prawo, psychologia, historia i in. Niezmiernie szybki rozwój nauk społecznych, nagromadzanie się mnóstwa nowych problemów i kwestii uzasadniało niewątpliwie to dążenie. Ekonomia rozpoczęła wtedy swój szybki rozwój koncentrując uwagę przede wszystkim na wymianie towarowej, *przez to ubożąc i zwężając treść swoich badań.*

Dziś dokonywa się wielka praca odnalezienia nowej drogi ekonomii, przede wszystkim przez rozszerzenie badań nad produkcją. Z tą dziedziną ekonomii najbardziej łączą się inne nauki poboczne jak socjologia ekonomii i psychologia. Jednocześnie opracowywane są problemy planowania produkcji. Odbywa się w dalszym ciągu wielka dyskusja między „liberałami" a „socjalistami" na temat możliwości i warunków planowania w gospodarce kolektywnej. Wyniki tej dyskusji są niezmiernie interesujące i ważne dla obu światów i obu poglądów, „kapitalistycznego" i „socjalistycznego", choć takie nazwania tylko dla uproszczenia schematu najogólniejszego podziału mogą służyć, gdyż inne wymagałyby wielu wyjaśnień i omówień.

Poza tą pracą dokonywa się wielka praca monograficzna planowania poszczególnych przemysłów, poszczególnych dziedzin działalności gospodarczej i to tak w krajach „totalnych" jak i najbardziej „demokratycznych", jak Anglia, Holandia, Belgia i inne europejskie i amerykańskie.

Jest to ruch już dziś wielki, jest to olbrzymia praca wykonywana właśnie w świecie kapitalistycznym. Oczywiście dla interesu tego kapitału i ciągle z tą upartą myślą szukania nowych rozwiązań, planowych koordynacji, dla prostego celu — usunięcia chaosu, który jest za drogi, nietwórczy, hamuje, uniemożliwia rozwój, gdy przecież tak niedawno, nazywany inaczej „dynamiką", czy „automatyzmem" spełniał swoją, jakże wspaniałą rolę tworzenia olbrzymich fortun prywatnych i potęg państwowych.

Dlatego to powstają w Anglii pisma periodyczne poświęcone planowaniu, wydawane przez ugrupowania polityczne „liberalne", omawiające problemy planowania gospodarki prywatnej, kapitalistycznej, w różnych dziedzinach prywatnej twórczości — w węglu, żelazie, nafcie, guzikach i meblach. Dlatego publikowane są monografie, obszerne bardzo i treściwe o planowaniu w prywatnej komunikacji kolejowej, tramwajowej i samochodowej, w mleczarstwie, o racjonalnej rozbudowie przemysłów użyteczności publicznej, wodociągach, gazowniach, elektrowniach itd. itd. Służą temu celowi i pisma poświęcone planowaniu miast i planowaniu regionalnemu, które poza częścią architektoniczną, ściśle związaną zresztą z gospodarką, mają charakter periodyków o planowaniu gospodarczym: jak „Town Planning Review", „Journal of the Town Planning Institute", „Baukunst und Stadtebau", „La Vie Urbaine" i inne.

Do dyskusji o planowaniu, w której na początku panowało pomieszanie języków i pojęć, w której każdy o czem innem myślał i twierdził z uporem, że przeciwnik nie ma racji tylko dlatego, że planowaniem nazywa rzecz odmienną — wprowadzono już systematykę i umowę.

Dziś już ustalony jest pogląd, że planowanie może się odbywać w różnej skali i na różnych odcinkach pracy gospodarczej, że może się odbywać przy zmianie zasadniczych podstaw gospodarowania, jak np. stosunku do prywatnej własności, lub z pozostawieniem tej podstawy nienaruszalną, przy włączeniu innego czynnika np. regulującego państwa i td.

Oczywiście, gdy jakiś socjalistyczny pisarz upierać się będzie, że „planowanie" jest w ogóle możliwe tylko w integralnie kolektywnej gospodarce z usunięciem prywatnej własności, to będzie to jedynie prawdziwe, że wiąże słowo „planowanie" z określonym planowaniem i nie pozwala tego słowa, wbrew jego sensowi językowemu, inaczej używać. (Wooton i in.).

Powszechnie przyjęte jest już dziś rozróżnienie następujących zasadniczych planowań:

1. Regulowanie gospodarki przemysłów kapitalistycznych przez organizację reprezentującą interes kapitalistyczny pod ogólną kontrolą wykonywaną przez państwo w interesie ogółu, lub

2. regulowanie tej gospodarki bezpośrednio przez państwo przy pomocy wszystkich instrumentów polityki gospodarczej, łącznie z mechaniką pieniądza;

3. systemy „socjalistyczne", w których własność prywatna jest ograniczona (może być oczywiście wiele stopni tego ograniczenia), istnieją prawne związki między przemysłami i społeczna dyrekcja podziału pracy, surowców i kapitału pomiędzy różne przemysły.

Dyskusja o planowaniu wyjaśniła już wiele spraw spornych, zlikwidowała wiele nieporozumień, doprowadziła do wyjaśnienia, że mechanizm ekonomii planowanej jest teoretycznie możliwy, że usystematyzowany może realizować równowagę ekonomiczną tak samo jak system „laisser faire".

Jeszcze w r. 1931 Griziotti-Kretschmann twierdził, że ekonomia planowana jest mechanizmem, w którym nie działa prawo podaży i popytu i teoria krańcowej użyteczności, jeszcze powtarzano poglądy Max Webera i Mises'a. Wielka dyskusja między socjalistami, a tą grupą „liberałów" wyjaśniła poważnie, jak te same prawa podstawowe ekonomii kapitalistycznej rządzą i działają we wszystkich formach i stadiach gospodarki planowanej typu „socjalistycznego", przy różnych zmianach w stosunku do prywatnego posiadania, rozporządzania i kierowania w dziedzinie produkcji. Wyjaśniono, że podobieństwo ekonomii planowanej do neoklasycznej jest tak duże, że technika osiągania równowagi jest ta sama. Tak samo jak w gospodarce liberalnej dokonywa się przez „szukanie" stałe w najdrobniejszych komórkach wymiany najlepszych relacji między podażą i popytem. Tak jak i w gospodarce liberalnej osiąganie równowagi odbywać się musi przez „serie prób", przez „usiłowanie i błądzenie".

Oczywiście pozostaje jeszcze wiele problemów do szczegółowego rozważenia, spór „liberałów" z „socjalistami" nie ustał, przyniósł jednak już dziś wyjaśnienie dotąd wielu ciemnych kwestii. Ekonomiści badający problemy planowania szukają natchnienia w ekonomii neoklasycznej. Przymierzają niejako nowo budowaną rzeczywistość lub nowe koncepcje gospodarki planowej do starego mechanizmu teorii i sprawdzają o ile dawne poglądy pasują do nich.

Przebieg tej dyskusji jest płodny i ważny zarówno dla świata kapitalistycznego jak i socjalistycznego.

Jest wielkim osiągnięciem myśli spółczesnej, że równolegle do wielkich przemian w życiu gospodarczym, z wprowadzaniem planowania do gospodarki prywatnych przemysłów i do gospodarki państw kapitalistycznych, odbywa się wielka praca w dziedzinie teoretycznego i praktycznego myślenia, mająca podstawowe znaczenie dla zmieniających się warunków gospodarowania.

Jakże często sądzi się jeszcze u nas, że cała sprawa planowania gospodarczego to jakiś snobizm lub naiwność nowego modnego hasła, poglądu, który przecież przeminie i ustąpi miejsca innym znów modnym słowom, a rzeczywistości nic nie przeszkodzi toczyć się dalej leniwym strumyczkiem i kultywować dawne przyzwyczajenia pracy nieskoordynowanej, niecelowej i nieplanowej.

Z tym przekonaniem trzeba jak najsilniej walczyć, gdyż wielkie prądy dzisiejszego gospodarowania zmieniają tak szybko technikę, organizację pracy i sposób myślenia w zakresie gospodarowania jednostek i państw, że nie będzie w świecie miejsca dla dziewiętnastowiecznych typów organizacji i typów myślenia. Bo to nie *nowa moda francuska*, ale rewolucja gospodarowania się odbywa i to jest *światowa rewolucja gospodarcza.*

Na ślepotę ludzi, którzy nie rozumieją, że nie możemy usunąć się od upartej pracy całego świata, z takim wysiłkiem woli i mózgu prowadzonej, którzy tak często bezmyślnie przyczepiają miano „bolszewizmu" lub „hitleryzmu" tym, którzy szukają dróg wydobycia potrzebnego w Polsce wysiłku dla tworzenia naszej własnej mocy gospodarczej przy zużytkowaniu wszystkich dostępnych rezultatów pracy i myśli innych, bogatszych i silniejszych, — nie pomogą żadne ilustracje i przykłady choćby najbardziej wymowne.

ANDRZEJ MAŁECKI

FETYSZ WOLNEGO HANDLU

W polityce handlu zagranicznego zasada wolnego handlu nie może stanowić abstrakcyjnego hasła.

Celem uniknięcia ewentualnych nieporozumień, podkreślamy, że nie zamierzamy bynajmniej omawiać doktryny szkoły liberalnej, a tem bardziej polemizować z jej założeniami. Interesuje nas przede wszystkim sposób ustosunkowania się niektórych zwolenników szkoły liberalnej do założeń tej szkoły i płynące stąd praktyczne konsekwencje.

W myśl poglądów, wygłaszanych niejednokrotnie w toku dyskusyj, tak nad ogólnymi zagadnieniami gospodarczymi, jak i konkretnymi zarządzeniami, należałoby ludzi interesujących się temi sprawami podzielić na dwie grupy: na uświadomionych, t. zn. wolnohandlowców i na obskurantów — autarkistów. Wolnohandlowcami są ci, którzy uznają absolutną wyższość wolnego handlu, bo (tu następuje pobłażliwy uśmiech)... bo to dla ekonomisty nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wyższość wolnego handlu została wszak teoretycznie, naukowo stwierdzona. Wolny handel jest tym ideałem nie tylko w abstrakcji, lecz i w praktyce — do którego w każdym czasie i miejscu należy dążyć. Ponieważ jednak praktyka niestety różni się od teorii, zdarzają się więc w pewnych wypadkach wyjątki, kiedy szanujący się wolnohandlowiec może odstąpić od ideału, czyni to jednak z obrzydzeniem, pamiętając przy tem zawsze, że konkretne „autarkiczne” zarządzenie musi być przede wszystkim tak pomyślane, aby jak najmniej ograniczało wolność handlu. Zakałą w tej pracy są autarkiści, t. j. wszyscy ci, którzy powyższych zasad nie uznają — od autarchistów czystej wody do najbardziej umiarkowanych protekcjonistów włącznie. Poglądy te są stare, jak dyskusja nad „wolnym handlem”. W ten sam mniej więcej sposób, — jeśli chodzi o przykład z historii polskiej, — przekonywał erudyta Nowosilcow Lubeckiego i — nie przekonał go, co z uwagi na osiągnięte przez Lubeckiego rezultaty praktyczne nie można w żadnym razie uważać za ujmę dla polskiego ministra.

Wydaje się, że wojowanie absolutną wyższością „wolnego handlu” nad innymi systemami jako prawdą stwierdzoną przez teorię ekonomii — polega na nieporozumieniu. Teoria ekonomiczna tego nie twierdziła, i twierdzić nie mogła. Nie może ona stwierdzać wyższości jednego zjawiska nad drugim, a więc w danym wypadku wolnego handlu nad handlem reglamentowanym, czy też naodwrót. Teoria może tu tylko powiedzieć, jakie prawa mogą rządzić w pierwszym i drugim wypadku (właściwie w drugich wypadkach, bo jest ich cała gama). Teoria ekonomii nie może wreszcie stwierdzić absolutnej wyższości metody wolnohandlowej nad reglamentowaniem handlu lub odwrotnie. Ta dziedzina wkracza już w zakres objęty nauką polityki gospodarczej, a tu teoria może jedynie stwierdzić, że celowość zastosowania tej czy innej metody zależy od zamierzeń i warunków.

Nieporozumieniem wydaje się również twierdzenie o sprzeczności teorii i praktyki. Teoria (dopóki utrzymuje się w nauce) nie może różnić się od praktyki. Teoria ekonomii bada prawa i zjawiska w swej dziedzinie, formułując twierdzenia — podobnie jak i teoria w innych gałęziach wiedzy — w sposób odpowiadający z góry przyjętemu układowi stosunków (eliminuje się np. pewne czynniki itd.). Teoria nie twierdzi jednak, że prawo musi się w życiu praktycznym przejawić akurat w taki sposób, jak w idealnych, laboratoryjnych warunkach. Roztrząsając więc działanie praw w warunkach realnych, życiowych, należy skrupulatnie uwzględniać wszystkie uzupełnienia konieczne w danym wypadku — tak samo, jak przy przenoszeniu do praktycznego życia praw fizycznych, chemicznych itd. Jeżeli jednak jakieś twierdzenie „teorii” nie odpowiada rzeczywistości nawet w warunkach, dla których zostało sformułowane, — to i wtedy nie ma rozbieżności teorii z praktyką, a poprostu taka teoria jest błędna.

Szkoły gospodarcze — to jest znów coś innego. Nie można twierdzić, że poglądy przez nie głoszone są, — biorąc system jako całość — czemś naukowo bezspornym, niewzruszonym. Najlepszy dowód, że są różne szkoły i że się zmieniają. Poglądy takich szkół wkraczają w dziedzinę teorii ekonomii, ale również — i to w bardzo poważnym zakresie — w dziedzinę polityki gospodarczej i usiłują znaleść rozwiązanie także konkretnych życiowych zagadnień. System stara się przy tem określić wzajemny stosunek poszczególnych elementów i ich hierarchię. Ze względów zupełnie zrozumiałych muszą tu odegrać poważną rolę zagadnienia dominujące w danym miejscu i czasie, tak jak i w innych dziedzinach potrzeba jest tu matką wynalazków. Szkoła jest wynikiem zarówno konkretnych potrzeb, jak i ogólnych prądów (nie tylko ekonomicznych, lecz i innych — filozoficznych, przyrodniczych itd.), przejawiających się w danej epoce i w danym środowisku. I te momenty dominują, chociażby nawet system był w sposób generalny (powszechny) formułowany.

Tak np. liberalizm fizjokratów był zgodny z duchem epoki i z potrzebami „reprezentowanej” przez fizjokratów grupy rolników francuskich, ale tylko w owym czasie. Fizjokraci powiedzieli „laissez faire, laissez passer”, formułując to hasło niezbyt ostrożnie jako uniwersalną w czasie i przestrzeni zasadę; nieostrożnie — bo żaden fizjokrata jako przede wszystkim wyznawca i obrońca rolnictwa, nie powiedziałby tego np. w dobie ostatniego kryzysu,

a wprost przeciwnie żądałby niewątpliwie ceł prohibicyjnych, zakazów przywozu i wysokich premij wywozowych dla artykułów rolniczych. Wtedy jednak teoria wolnohandlowa była bardzo na czasie, bo konkretnie chodziło o zniesienie zakazu wywozu zboża z Francji.

Przedstawiciele szkoły liberalnej, stawiając sobie jako cel dobrobyt narodów, głosili zasadę wolnego handlu jako środek do szybkiego wzbogacenia ludzkości, budując przy tem system na przyrodzonej człowiekowi chęci zysku. Rozumowali przy tem bardzo po angielsku, bo szczególnie w ówczesnych warunkach angielskich, wobec znaczenia Anglii w handlu światowym, ta indywidualna „chęć zysku" mogła w zupełności wystarczyć (dla Angli oczywiście). Zresztą tam, gdzie to praktycznie uważano za potrzebne, wprowadzają pisarze liberalni wyjątki od zasady wolności. Najmniej na tem ucierpiała „idea" wolnego handlu. Nieszczęście chciało, że Anglia z uwagi na swą strukturę gospodarczą najmniej interesowała się u siebie takim instrumentem polityki gospodarczej, jak bezpośrednia reglamentacja handlu na szerszą skalę, a zato wolność jej handlu na rynkach zbytu leżała Anglii bardzo na sercu.

To, że szereg angielskich uczonych reklamował wolny handel, musiało mu dodawać blasku. Anglia to kraj potężny, który handlowi zawdzięcza swą pomyślność, więc chyba już i z tego tytułu zdanie Anglika o wolnym handlu jest ważne. Poza tem Anglia to imperium światowe, w którym słońce nie zachodzi. Któż więc lepiej od Anglika może rozumować na skalę światową, ogólnoludzką? Nie mają już tego czaru poglądy innych szkół, np. niemieckiej szkoły narodowej, ponieważ z konieczności opierają się na argumentach „ciaśniejszych", bo ograniczających się do partykularnych interesów krajów o mniejszym światowym zasięgu. Nie twierdzimy, że koniecznie rozumuje się w tak krańcowo niesłuszny sposób. Jednak częściowo i angielskiemu pochodzeniu należy przypisać sympatię do wolnego handlu. Wreszcie sam wyraz „wolny" też wpływa na to. Wolność jest każdemu droga. Wszystko, co wolne, liberalne, już z samego tytułu nabiera zabarwienia idealnego, „wyższego". Liberalny światopogląd, liberalna polityka handlowa, liberalna polityka kredytowa. (To ostatnie wyrażenie ma już trochę inną treść; tu wolno interweniować, ale liberalnemi = klasycznemi metodami). W rezultacie cześć dla wolności przenosi się często i na propagowane pod jej firmą hasła i metody. Los ten spotkał i szkołę wolnohandlową. Głosi ona cel wzniosły — dobrobyt narodów. Otóż kult dla tego pięknego celu przeniesiono wraz ze wszystkimi akcesoriami i na środki liberalne, a więc i na wolny handel. W rezultacie wolny handel stał się sam celem i ideałem. To jest swego rodzaju fetyszyzm. że uczuciowy stosunek do wolnego handlu istnieje, wskazuje na to chociażby następujący przykład. Grupa ekonomistów, rozpisując ankietę w sprawie problemu wolnego handlu czy dążenia do autarkii, stwierdza że: „Idea wolnego handlu musi być w zasadzie drogą każdemu człowiekowi, pragnącemu braterstwa wszystkich ludzi, wszystkich narodów. Handel światowy, nie krępowany barierami celnemi, rozkrzewia cenne zdobycze cywilizacji zachodnio-europejskiej a z niemi i kulturę naszą wśród najbardziej zacofanej ludności innych części świata, otwiera bramy zbliżenia wszystkich ludzi, podnosi poziom powszechnego dobrobytu, toruje drogę do stworzenia światowego związku narodów a może wszechświatowego imperium, w którym nie byłoby wojen... Czy atoli ideał ten, przyświecający poważnej grupie uczonych i mężów stanu liczy się dostatecznie z rzeczywistym człowiekiem dzisiejszym, z rzeczywistym ustrojem i potrzebami współczesnych państw, z zasadniczemi różnicami poziomu kulturalnego, istniejącemi między nimi i czy z tych powodów — nawet gdyby był w zupełności i bez zastrzeżeń trafnym — nie jest tak odległy, że wydaje się wprost zwodniczym?".

W dalszym ciągu jest mowa o przemianach klauzuli największego uprzywilejowania od *zwykłej klauzuli* po przez amerykańską do zmiany, nazwanej „najmniej ideową — ale zarazem najpraktyczniejszą" — do umów kontyngentowych na zasadzie równowartości świadczeń. Potem jest mowa o różnych prądach, środkach polityki gospodarczej stosowanych w ostatnich czasach i odbiegających w większym lub mniejszym stopniu od liberalnego ideału, trudnościach gospodarczych oraz o podłożu, na którym powstały hasła wolnego handlu. Ankieta kończy się w sposób następujący: „Te wszystkie problemy na tle nie tylko teoretycznym, ale całej rzeczywistości współczesnej, przede wszystkiem zaś na tle interesów Polski, winniśmy gruntownie i wszechstronnie rozpatrzyć i zdać sobie sprawę z naszego, stąd wynikającego położenia oraz dróg, jakie należy nam wobec niego obrać, celem wydatnej poprawy naszej sytuacji gospodarczej. W szczególności nasuwają się tu pytania: Czy mimo wszystko należy interes indywidualny postawić wyżej niż publiczny, wierząc, że suma korzyści indywidualnych wzbogaci ostatecznie szerokie warstwy ludności własnej, tem samem zaś pokrywa się w rezultacie z interesem całego społeczeństwa? Czy u kresu wszelkich wysiłków nie zwycięży ostatecznie wolność a wszelkie nakładane na nią więzy mogą mieć tylko czasowe i w rezultacie ujemne znaczenie? Czy dążenie do autarkii nie utrudni wprowadzenia w przyszłości międzynarodowego systemu monetarnego? A z drugiej strony: Czy idea międzynarodowego pieniądza nie jest zbyt daleką i narazie przynajmniej nierealną, aby dla niej należało poświęcić bliskie i pewne korzyści, łączące się z dążeniem do autarkii w granicach możliwości? Czy zalecenia wolnego handlu nie wychodzą przede wszystkiem od państw wysoce uprzemysłowiowych i czy nie dyktuje ich raczej materialny interes, niż teoretyczne rozważania? Czy systemu zbudowanego na zasadzie ochrony interesów indywidualnych jednostki nie należałoby zastąpić innym, wysuwającym na pierwszy plan dobro całego społeczeństwa?".

Otóż to: „Idea wolnego handlu musi być zasadniczo drogą"... Nie chodzi nam o słowa, lecz o „nastawienie". I czy należy „ideę" wolnego handlu opierać m. in. na tem, że „handel światowy rozkrzewia cenne zdobycze cywilizacji"? Handel rozkrzewia nie tylko cenne zdobycze, przy czem bilans w tym zakresie jest rozmaity. Poza tem mała dygresja: czy nasza kultura jest odpowiednia i jest dobrodziejstwem dla „najbardziej zacofanej ludności innych części świata".

zwłaszcza w formie dostarczanej przez handel? To nie jest tak oczywiste i wymagałoby dowodzenia; to jednak do nas nie należy. Nie zamierzamy polemizować z założeniami idealnymi, wybiegającymi poza interesującą nas dziedzinę polityki gospodarczej, poruszymy jedynie niektóre z nich bardziej charakterystyczne. Tak więc budzi w nas wątpliwości przeciwstawienie indywidualnych interesów jednostki interesom społeczeństwa jako całości i jednoczesne przeciwstawienie na takiej podstawie systemu zbudowanego na zasadzie ochrony indywidualnego interesu jednostki — systemowi, który miałby chronić interes społeczeństwa jako całości. Indywidualne interesy pewnych jednostek czy też grup jednostek mogą się nie pokrywać z interesami społeczeństwa jako całości. Czy słuszne jest jednak takie twierdzenie w odniesieniu do każdej jednostki, czy też ogółu jednostek, generalnie, niezależnie od warunków, w jakich żyje dane społeczeństwo i jednostki; i czy można na tej podstawie przeciwstawiać poszczególne systemy? Chyba — jeśli się utożsamia indywidualny interes jednostki z wolnością handlu i niewtrącaniem się w indywidualną chęć zysku. Należy przy tem uzglednić to, że wolny handel pozwala na realizację tej indywidualnej chęci zysku ogółowi czy też większości jednostek — w pewnych warunkach, np. z grubsza biorąc w warunkach angielskich. Przy innej strukturze gospodarczej może być inaczej. Można nawet w pewnych warunkach nie zdążyć i nie skorzystać z dobrobytu, który przyrzeka wolny handel. Można np. w miedzyczasie zbiednieć, można stracić niepodległość itd. I dlatego z punktu widzenia interesów społeczeństwa jako całości i związanych z tem indywidualnych interesów ogółu jednostek nie posiada praktycznego znaczenia zagadnienie, czy u kresu wszelkich wysiłków zwycieży czy nie zwycięży ostatecznie wolność handlu. Nie wydaje się również słuszne wiązanie z tym problemem ewentualnego ujemnego znaczenia więzów nakładanych na handel.

Wreszcie niesłuszne jest przypisywanie nieliberalnym środkom „mniej ideowego" charakteru od środków liberalnych, lub bardziej liberalnych, jak to wynika ze sformułowanego bez żadnych omówień i zastrzeżeń twierdzenia, że umowy kontyngentowe na zasadzie wzajemności świadczeń są mniej ideowe od klauzuli największego uprzywilejowania. Tego rodzaju środki polityki gospodarczej nie są chyba same przez się niemoralne. Można tylko ewentualnie mówić o moralności sposobu ich stosowania i o moralności celu. Cele przy tem środków mniej liberalnych mogą być równie moralne i „ideowe" jak i cele wolnohandlowe.

Wróćmy jedna do prawowiernych wolnohandlowców, czczących bez żadnych skrupułów wolny handel na równi z celem, do którego ma prowadzić. Otóż omówiona już na wstępie zasadnicza ich „postawa" wywołuje charakterystyczny stosunek do konkretnych zagadnień gospodarczych.

Stosunek ten cechuje pewien sentyment do stanu obecnego. Stan obecny jest „dobry" — w tym znaczeniu, że dobroczynne prawa liberalne, które rządzą światem, zawsze w sposób właściwy ten stan naprawią. Z tym poglądem wiąże się niechęć do polityki strukturalnej.

Z przekonaniem o generalnym znaczeniu i skuteczności polityki wolnohandlowej wiąże się często przekonanie o powszechnej skuteczności różnych środków, jak np. generalnego zastosowania klauzuli największego uprzywilejowania. Dopuszcza się tu „wyjątki" a takie ujęcie sprawy określa ogólną atmosferę.

Z wiarą w naukowo stwierdzone działanie zasad i skuteczność metod liberalnych wiąże się w praktyce pogląd na metody pracy polityka gospodarczego: nauka podzieliła politykę gospodarczą na pewne działy, rozgraniczyła je i ustaliła w każdym dziale ogólne i szczegółowe recepty. Istnieją więc jako działy w dużym stopniu niezależne: polityka handlowa, polityka taryfowa, polityka podatkowa, polityka kredytowa itd. — poprostu polityka gospodarcza dzieli się według odnośnych departamentów; handel zagraniczny należy do kompetencji nauki zwanej polityką handlową, która posiada swoje naukowe stwierdzone prawa, zasady i metody, od których istnieją wyjątki, ale stosowane możliwie rzadko. Z prawem o bilansie wiąże się konieczność popierania wywozu a swoje własne środki przepisuje tu polityka eksportowa. Istnieje również konieczność zwiększenia obrotów w ogóle, a więc i importu, który niesłusznie bywa tak nielubiany, ponieważ w zasadzie jest on w przeciwieństwie do eksportu „wzbogacaniem gospodarstwa narodowego". (Zasada słuszna — z zastrzeżeniem, że importuje się za darmo). W dziale przywozu polityka importowa nakazuje przede wszystkim popieranie przywozu surowców, bo surowce (pojęcie „globalne") są potrzebne, a jak wiadomo surowce krajowe nie wchodzą na ogół w rachubę, ponieważ przemysł w naturalnym dążeniu do maksymalnego zysku, surowców tych nie chce.

Wszystko szłoby gładko, gdyby nie było autarkistów i „czynników pozagospodarczych (np. potrzeby obronności). Ale to są rzeczy przejściowe i można to jakoś strawić, byleby tylko polityk gospodarczy bronił możliwie jak największej wolności handlu.

W praktyce wygląda to tak: „Autarkista" proponuje wydanie ochronnego zarządzenia celem zapewnienia rozwoju jakiejś gałęzi produkcji. Załóżmy, że rozwój tej produkcji wymaga wydania zarządzenia ochronego w zakresie, który przyjmujemy za 100. Wolnohandlowiec protestuje. Zaczynają się rokowania, i w rezultacie zostaje wydane kompromisowe, powiedzmy, 50-procentowe zarządzenie. Skutek: nie ma ochrony, nie ma wolnego handlu, a jest tylko utrudnienie dla jednych, a dodatkowy zysk dla innych, tych którzy zdążyli uzyskać kontyngent. Nie należy jednak, jak to się często czyni, winić za taki rezultat wyłącznie autarkistę. Zawinił w danym wypadku niewątpliwie, gdyż zgodził się na niedostateczną ochronę. Wolnohandlowiec jednak musi też przyjąć swój 50-procentowy udział w odpowiedzialności.

Niewątpliwie polityk gospodarczy musi sobie postawić cel. Tym celem jednak nie może być narzędzie: polityka wolnohandlowa, a poprostu potęga i dobrobyt Polski. Przy układaniu planu swej polityki musi on uwzględnić wszystkie elementy tzw. gospodarcze i tzw. pozagospodarcze. Wszystkie one „grają" w gospodarstwie krajowym i na podstawie analizy wszystkich czynników można dopiero ustalić

wytyczne i wybrać szczegółowe środki. Ale czyż taką wytyczną może być dążenie do wolnego handlu? Czy przy obecnej strukturze gospodarczej i społecznej Polski, w obecnej sytuacji międzynarodowej — tak w dziedzinie politycznej jak i gospodarczej, można się obejść bez ochrony gospodarstwa krajowego, bez interwencji państwa w zakresie podziału dochodu społecznego pomiędzy poszczególne warstwy społeczne i pomiędzy poszczególne gałęzie gospodarstwa? Czy w obecnych warunkach polskich przy braku kapitału, w obecnym stanie aparatu kredytowego itd. itd. obejdzie się bez ingerencji w dziedzinie handlu zagranicznego? A dalej — gdyby nawet na całym świecie panował niepodzielnie wolny handel, — czy Polska przy obecnym podziale bogactw pomiędzy poszczególnemi narodami i przy swej strukturze gospodarczej i społecznej mogłaby prowadzić politykę wolnohandlową? — Chyba nie. Nawet na pewno nie — i to tak długo, dopóki układ stosunków na wolnohandlową politykę Polski nie pozwoli. W tych warunkach cały „problem wyższości wolnego handlu" (ze wszystkim, co ma związek z takim postawieniem sprawy) nie istnieje dla polskiej polityki gospodarczej. Istnieje tylko problem, jaki ma być system reglamentacji.

Nie można jednak chronić „wszystkiego". I w dziedzinie „autarkii" istnieją fetysze. Ale nie są one znowu tak straszne, jak je malują. Niesłusznie przypisuje się im całe zło reglamentacji, bo, jak o tem wyżej wspomniano, często współwinnym jest fetysz wolnego handlu.

U W A G I

NABYWCY KOLUMNY ZYGMUNTA

U podstawy prawa przemysłowego, a raczej tego jego działu, który dotyczy rzemiosła, leży fikcja.

Zawleczono ją jak zarazę z dzielnicy, która odznaczała się najmniejszym aktywizmem gospodarczym, a musiała podlegać krótkowzrocznej biurokracji cesarskiej Austrii. Narzucone Małopolsce austryjackie prawo przemysłowe wywodziło się zaś, jak wiadomo, z kombinacyj politycznych Wiednia, pragnącego sparaliżować postępy wyborcze socjal - demokracji za pomocą koncesji na rzecz schowanego w ukryciu stanu trzeciego.

Koncesja zrodziła koncesję... Austryjackie prawo przemysłowe poddało życie gospodarcze i społeczne przepisom suchej formalistyki, niezdolnej do aktywności, ale pasjonującej się do formułek, wygodnych dla biurokracji. Czarno - żółta biurokracja nie miała ambicji, właściwej dzisiejszemu interwencjonizmowi i etatyzmowi, brania spraw ekonomicznych we własne ręce lub, jak kto woli, za twarz. Czarno-żółci urzędnicy zajmowali się albo podstawianiem nogi, albo wytwarzaniem wrażenia, że mucha, jadąca na grzbiecie wołu, również orze ziemię. Przede wszystkim zaś urabiali opinię, że człowiek bez koncesji, bez urzędowego „cetelka" i urzędowej „stampilii' jest niczem. Biurokracja rosyjska uzależniała byt ludzki od paszportu, austryjacka — od koncesji.

Rzemieślniczy dowód uzdolnienia był też koncesją. Potężna monarchia nie mogła dopuścić, aby fryzjer mógł golić pana nadradcę, nie uzyskawszy uprzednio od tegoż pana nadradcy zaświadczenia, iż on (t. zn. fryzjer) jest odpowiednio uzdolniony. Kto chce machać pędzlem, ergo żyć i zarabiać, musiał się wykazać dowodem uzdolnienia, wydanym na podstawie dokumentów, stwierdzających odbycie praktyki i zdanie właściwych egzaminów. Egzaminy — to papierki, dokumenty — również, zaświadczenia i karty rzemieślnicze, — także, a na wszystkim znaczki stemplowe, „stampilie" i nieodzowne podpisy c. k. urzędników.

Czarno - żółte paragrafy przeflancowano z Małopolski do Kongresówki, Ziem Wschodnich i b. dzielnicy pruskiej. Lat temu dziesięć (jubileusz polskiego prawa przemysłowego przeszedł dziwnie bez wrażenia...) ukazał się dekret, będący kompromisem pomiędzy tradycją rzemiosła małopolskiego a wysokim poziomem techniki rzemieślniczej na ziemiach zachodnich. Kongresówka ze swym doskonałym „postanowieniem Księcia Namiestnika" z pierwszej połowy ub. w. uznana została za ubogiego krewnego.

Flanca czarno - żółta przyjęła się doskonale. W Małopolsce kodeks rzemieślniczy potraktowano jako hołd, należny duchom z Wiednia, w Wielkopolsce i na Pomorzu jako gwaranta solidności wykonawstwa, w b. zaborze rosyjskim jako prezent tak wspaniały, że doprawdy nie wypada go krytykować. Na krytykę zresztą nie starczyło już czasu, bo trzeba było organizować izby rzemieślnicze. A czyż mógł kto przypuszczać, że świeżo upieczona biurokracja izbowa będzie piłowała gałąź, na którą ją posadzono?...

I tutaj zaczęła się tragedia czy tragikomedia, trwająca lat dziesięć. Sytuacja rzemiosła nie doznała poprawy, lecz pogorszenia. Depresja koniunkturalna wywołała falę bezrobocia na wsi i w mieście, a fala ta rozpoczęła szturm do warsztatów rzemieślniczych. Warsztaty, chociaż uzbrojone w koncesyjny system dowodu uzdolnienia i otoczone kartami rzemieślniczemi jak drutem kolczastym, broniły się bardzo słabo. Bezrobotni, zwani nielegalnymi, legalizowali się łatwiej lub trudniej, izby rzemieślnicze puchły od papierowej roboty i od opłat, wnoszonych za legalizację, w drucie kolczastym było dużo miejsc do przejścia, komisje egzaminacyjne wzięły niezwykle ostre tempo — i armia rzemieślnicza powiększyła się dość znacznie.

Nie zmniejszyło to biedy, trapiącej rzemiosło. Państwo i samorządy zapomniały o nim zupełnie, społeczeństwo nauczyło się je lekceważyć, zamówień brakło, dostawy i kredyty stały się niedostępne. To, co Małopolska zrobiła istotnie dobrego dla rzemiosła, mianowicie pomoc kredytową z funduszów Wydziału Krajowego i dostawy dla c. k. armii, — w Polsce Niepodległej złożona do lamusa. Na plan pierwszy i jedyny wysunięto „czynności urzędowe"

izb rzemieślniczych, pracujących w pocie czoła nad tysiącami papierków, świadczących w najlepszej wierze o rzekomym uzdolnieniu zawodowym Adamów, Abramów i Maćków.

I nie w braku dostaw i kredytów, nie w zaniedbaniu akcji wychowawczej i organizacyjnej szukano zła, które trapiło rzemiosło, lecz w niedostatecznych, rzekomo, rygorach prawa przemysłowego. Żądano zniesienia „dyspens" i egzaminów ulgowych, skasowania możliwości powoływania się na prawa nabyte, ustanowienia przywilejów jedynie dla mistrzów, stanowiących skromną mniejszość w pół milionowej armii rzemieślniczej, zakazu istnienia systemu chałupniczego, etc., bo wierzono we wszechmocne działanie paragrafów. Poziom rzemiosła upadał, bo gros wysiłków biurokracji izbowej pochłonęło „urzędowanie", a mimo to żądano od izb stosowania ostrych rygorów kwalifikacyjnych, których izby stosować nie mogły, nie mając po temu ludzi, sił i czasu. Papierkom i paragrafom stało się zadość, rzemiosło jednak, zwolnione od wewnętrznej troski o jakość swego warsztatu, przestało się doskonalić.

Dziesięciolecie „wykonywania" prawa rzemieślniczego wykazało, iż armia rzemieślników nielegalnych, licząca — pomimo egzaminów, potwierdzenia praw nabytych, dyspens i t. p. ulg i furtek — ok. 20% ogólnej liczby porających się z rzemiosłem, utrzymała swój stan posiadania. Jak z pod ziemi wyrastają nowe zastępy „nielegalników", a tu jeszcze mówi się o chałupnikach, że to są właściwie rzemieślnicy; tak samo rzemieślników „odkryto" w przemyśle ludowym i domowym, ostatnio zaś dokonano sensacyjnego odkrycia, zaliczając do rzemiosła drobny przemysł (do 20 robotników włącznie).

Prawo przemysłowe okazało się dla rzemiosła fikcją. Fikcja to bardzo niebezpieczna, skoro odwraca uwagę społeczeństwa i rzemieślników od spraw daleko ważniejszych. Jeżeli bowiem udział rzemiosła w robotach i dostawach publicznych, w imporcie i eksporcie jest tak nieznaczny, jeżeli zaopatrzenie warsztatów rzemieślniczych w nowoczesne narzędzia pracy i kapitały obrotowe pozostawia tak naprawdę wiele do życzenia, jeżeli wreszcie przeciętny poziom wykonawstwa, solidności, punktualności i t. p. w rzemiośle nasuwa daleko idące zastrzeżenia — to czy istotnie nie mamy większych kłopotów, jak martwić się o zatrzaśnięcie furtki przed nosem 80 czy 100 tysięcy „nielegalników"?

Można zrozumieć, iż rzemieślnicy legalni chcieli by ograniczyć dostęp do zawodu, aby go wyżej podnieść technicznie i każdemu rzemieślnikowi zapewnić maximum rentowności. Dotychczasowe doświadczenie uczy jednak, że o poziom techniczny dba się minimalnie, a jeśli chodzi o rentowność, to wpierw trzeba wyjaśnić, dlaczego to połowa rzemiosła legalnego nie płaci od wielu lat podatków.

Rzemieślnicy — to dziwny naród. Są to ludzie na ogół trzeźwo myślący, dobrze zorientowani w potrzebach i warunkach życia, realiści i pozytywiści. Gdy się jednak zbiorą w cechu, w stowarzyszeniu lub w izbie rzemieślniczej, wymienione plusy idą w kąt, a na ich miejsce wychodzi skłonność do demagogii, naiwna wiara we wszechmocne działanie nawet nieżyciowych paragrafów i bierne uleganie barwnym fikcjom. Czytamy, co prawda, o ludziach statecznych, poważnych i rozsądnych, że dają się nabierać „farmazonom", sprzedającym „brylanty z korony carskiej" lub kolumnę Zygmunta. Czyżby więc rzemieślnicy padali ofiarą złudzenia, że prawo przemysłowe, wykombinowane przy biurkach przegranej biurokracji austryjackiej, jest w stanie zastąpić twórczy wysiłek techniki, gospodarki i organizacji?...

j. gozd.

WALKA Z ETATYZMEM

Walka z etatyzmem wre niczem wojna na Dalekim Wschodzie. Chociaż w walce tej nie padają trupy, to jednak warto wypomnieć, że nie są w niej przestrzegane normy o nieużywaniu gazów trujących. W rezultacie ludzie czytający prasę codzienną w ilości większej niż jedna gazeta narażeni są na ciężkie niebezpieczeństwa, zwłaszcza, jeżeli są świadomi spraw, o które chodzi.

Weźmy np. taką sprawę: pewien ekonomista (!) pisze artykuł p.t. „Czy etatyzm buduje, czy rujnuje przemysł". Dla odpowiedzi na to pytanie bierze monopole: zapałczany, tytoniowy i spirytusowy. Pomińmy sprawę, że monopol zapałczany nie jest administrowany przez Państwo, lecz jest w rękach spółki prywatnej o kapitale zagranicznym. Argumentacja p. F. Z. (tak się nazywa ten ekonomista) jest tego rodzaju, że ta okoliczność nie gra żadnej roli. Argumentacja polega na tem, że bierze się liczbę fabryk i robotników przed wprowadzeniem monopolu i w roku 1935/36. Stwierdza się, że, jeśli chodzi o przemysł zapałczany i tytoniowy, fabryk i robotników jest mniej — ergo odpowiedź na pytanie jest jasna. Że już nawet kartel prowadzi do koncentracji produkcji, że tem bardziej monopol musi prowadzić do tej koncentracji, że w rezultacie wzrasta silnie wydajność pracy, a koszty własne spadają, że każdy prywatny monopol zrobiłby to samo i że tam, gdzie gospodaruje kapitał prywatny (zapałki) proces koncentracji i racjonalizacji zaszedł najdalej — to dla p. F. Z. nie gra żadnej roli: etatyzm rujnuje przemysł i basta. Pomijamy tu sprawę kryzysu, o którym i p. F. Z. zupełnie zapomniał.

Najlepiej wypadło ze spirytusem. Tu bowiem liczba gorzelni wzrosła, a produkcja spadła. Spadła, bo był kryzys, o czem oczywiście ani słówka. Wzrosła ilość gorzelni, bo taki jest cel istnienia monopolu spirytusowego, by jak najwięcej gospodarstw rolnych mogło przerabiać ziemniaki. P. F. Z. wysuwa natomiast jako druzgocący argument, że ten przemysł reprezentuje zaledwie 25% przedwojennych rozmiarów. Panu F. Z. doskonale jest wiadome, że przemysł gorzelniczy na ziemiach polskich pracował na rynki zaborcze, że nigdy nie bylibyśmy w stanie wypić wszystkiej wódki, jaką są zdolne wyprodukować nasze gorzelnie, choćby się w tym celu zgodnie wysiliła inicjatywa prywatna i publiczna.

Z punktu widzenia ekonomisty cała ta argumentacja byłaby nieuctwem, gdyby nie świadomość, że

autor ich nie jest nieukiem. Przynajmniej nie chce się w to wierzyć.

Gdzie indziej czytamy opis wielkiego święta. Firma „Union Textil" zbudowała 44 mieszkania dla swych robotników. Firma ta jest znana z tego, iż eksportowała wyroby wełniane, do których surowiec jest kupowany za dewizy, do kraju, gdzie należności z tytułu eksportu były zamrożone. Reprezentuje ona kapitał francuski, który sobie wyrobił opinię gospodarującego rabunkowo, metodami kolonialnemi. Z tego względu budowa przez tę firmę mieszkań robotniczych jest istotnie faktem radosnym i wszyscy zgodnie cieszymy się z tego.

Ale z okazji tego faktu „Kurier Polski" przeciwstawia inicjatywę prywatną inicjatywie publicznej. Powiada, że inicjatywa prywatna to kierownictwo człowieka, a więc i reprezentuje ludzki stosunek do człowieka. Inicjatywa publiczna natomiast, to kierownictwo urzędu, stąd wynika czysto formalny stosunek do człowieka. I powiada, że przysłowie — „człowiek człowiekowi wilkiem" należy przerobić na — urząd człowiekowi wilkiem.

że urząd bywa człowiekowi wilkiem, to prawda. Zwłaszcza gdy ściąga podatki; wtedy jest nawet bardzo żarłoczny. Tylko, że jeśli się mówi o inicjatywie publicznej na polu przedsiębiorczości, to trzeba mówić o przedsiębiorstwach państwowych, a nie o urzędach. To już jest chwyt nie całkiem fair. A poza tem... poza tem czytelnik chwyta się za głowę. Bo czytelnik może wiedzieć, że pionierami w sprawie budowy mieszkań dla robotników były właśnie owe „rujnujące" kraj monopole, a szczególnie przemysł obronny i że w ogóle przemysł państwowy buduje mieszkania dla robotników już od kilkunastu lat. Przeciwstawiać humanitaryzm i żywy stosunek do człowieka przemysłu prywatnego w Polsce z okazji wybudowania 44 mieszkań, formalnemu stosunkowi do tej sprawy inicjatywy publicznej w momencie, gdy na terenie C. O. P. inicjatywa publiczna buduje dla robotników tysiące mieszkań, to trzeba mieć kolosalny tupet i nieograniczone zaufanie do ignorancji czytelników. A przecież jest jeszcze Łódź, jako żywy pomnik stosunku inicjatywy prywatnej do potrzeb robotniczych i jest jeszcze skromna wątpliwość: czy Union Textil wybudowałaby te mieszkania, gdyby nie ograniczenia dewizowe?

O tak, macie rację panowie. Etatyzm niewątpliwie wywiera fatalny wpływ na życie polskie: przeraźliwie deprawuje zwalczających go ludzi.

r. s.

ZJADACZE CHLEBA

Nie dobrze jest gdy szewca uczy ksiądz szewstwa, wtedy szewca może porwać szewska pasja.

Nauka dana „zjadaczom chleba", przez autora artykułu p. t. „Człowiek zagospodarowujący się" [1]), może doprowadzić do szewskiej pasji każdego „prostego człowieka". Autor zarzuca robotnikom, innym grupom pracowniczym i „klasom społecznym w ogóle" (co za prezyzja!) — życie nad stan; chce przekształcić zwykłych zjadaczy chleba na ludzi gospodarujących przez reformę indywidualnej gospodarki w sensie większego nastawienia jej na oszczędzanie i inwestowanie, w drodze racjonalizacji polityki wydatkowej. Budżety tych ludzi — zdaniem pana b. w. — grzeszą przewagą charakteru konsumcyjnego. Autor wprawdzie stwierdza, że zarobki w Polsce są w ogóle niskie, niekiedy nawet zbyt niskie, lecz mimo to powiada: „innym problemem jest konieczność podwyższenia dochodów, a innym złe wydatkowanie". Nie zgadzamy się z tym rozgraniczeniem. Rzecz sprowadza się do wysokości dochodów cytowanych kategorii pracowniczych, bowiem źródłem „grzechu konsumcyjności" budżetu jest właśnie zbyt niski poziom dochodów. Postaramy się w dalszych wywodach to udowodnić, jako też wskazać na błędne przesłanki, które doprowadziły do dalszych mylnych — naszym zdaniem — wniosków. Zarzut życia nad stan w Polsce może dotyczyć tylko stosunkowo bardzo nieznacznej części społeczeństwa. Tej, którą na to stać.

Gdyby autor zwrócił się z apelem o zagospodarowywanie się do zamożniejszych warstw naszego społeczeństwa — wszystko byłoby w porządku. To też gdy autor powiada, że nic nie usprawiedliwia" niskiego stanu majątkowego wielu, bardzo wielu z pośród nas" — zgadzamy się z tem, gdyż zapewne chodzi o tych wielu z pośród niewielu, których stać na inwestycje, a którzy tych inwestycyj nie czynią. Z chwilą jednak gdy autor mówi to samo o robotnikach i szerszych warstwach gorzej uposażonych pracowników, gdy operuje „przeciętnym budżetem", popełnia błąd, niewłaściwość w stosunku do świata pracy, nie mówiąc już o świecie pracy pozbawionym. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że „przeciętne" budżety w Polsce są tak obstawione pozycjami sztywnemi, tak napięte, że nie ma z czego przesuwać na wydatki inwestycyjne. Wystarczy minimalny wzrost drożyzny lub nieprzewidziany wydatek, aby budżet do dziś zrównoważony stał się deficytowy.

Aczkolwiek p. b. w. opiera swe rozumowanie o znajomość budżetów domowych, nie poddaje żadnego z nich analizie, jako też nie cytuje konkretnych wypadków marnotrawstwa. A szkoda! Bo zaoszczędziłby sobie trudu dalszych wywodów, a nam repliki. Nie zamierzamy w tym względzie wyręczyć autora. Nie będziemy cytowali „przeciętnego budżetu". Budżety robotnicze, chłopskie i bezrobotnych zostały już dość gruntownie zanalizowane, przy czem analiza doprowadziła do wniosków powtórzonych przez nas. Pozwolimy sobie natomiast zacytować i przeanalizować budżet *jak na nasze stosunki wysoki*. Jest to budżet kontraktowego (etatowi wśród nowo przyjmowanych zdarzają się bardzo rzadko) radcy ministerialnego, prowadzącego skrupulatnie księgowość swego budżetu domowego. Z budżetu utrzymują się prócz pracownika: dziecko, żona i pomocnica domowa. Jak dalej zobaczymy nawet przy tak *względnie* wysokim budżecie trudno mówić o kapitalizacji i inwestycjach.

Trudno więc spokojnie oceniać apel o właściwsze wydatkowanie, apel skierowany do przygniatającej większości zjadaczy chleba, którzy nie mając „*tyle*" dochodu, ani względnie ani tem bardziej bezwzględnie, nie mają co wydawać na inwestycje. Nie pokrywają oni wszystkich niezbędnych potrzeb, marzyć

[1]) Gazeta Polska z 9-XII-37.

więc nie mogą o kapitalizacji. A jeśli oszczędzają, dzieje się to kosztem nie zaspakajania kardynalnych potrzeb, nawet kosztem niedojadania.

Pensja brutto	515.—
Odtrącenia:	
podatek specjalny	41.20
podatek dochodowy	32.96
fundusz pracy	5.15
ubezpieczenia emerytalne	21.63
ubezpieczenia chorobowe	11.41
Razem potrącenia	112.35
pozostaje do wypłaty	402.65
Z tego wychodzi na:	
3-pokojowe mieszkanie na peryferiach miasta	105.—
tramwaje	15.—
pensja pomocnicy domowej wraz ze składką do ubezpieczalni	28.—
węgiel i drzewo (przeciętna miesięczna przez rok)	20.—
światło i gaz (przeciętna miesięczna przez rok)	15.—
prowadzenie domu(życie, pranie, reperacje itp.)	165.—
gazety	5.—
radio	3.—
czasopisma gospodarcze	3.—
opłata za wypożyczanie 1 książki w bibliotece	1.50
prenumerata pisemka dla dziecka	0.80
wkładka na książeczkę oszczędnościową premiową IV ser. dla dziecka	8.—
wkładka na książeczkę oszczędnościową premiowaną V ser. dla żony	5.—
Razem	374.30
Pozostaje na resztę	28.35

Na tę „resztę" składają się wszelkie inne mniej lub więcej stałe i dobrowolne składki, opłaty szatni nieskończonej ilości konferencyj i podobne niespodzianki. Za tę resztę ma być teatr, kino, godna reprezentacja rodziny na zewnątrz. Z „reszty" tej mają być pokrywane wszelkie wydatki inwestycyjne, ubranie, buty itd. Mają być, ale przeważnie nie są, gdyż wszelkie inwestycje, w tem wyjazd na urlop, muszą być pokrywane z dochodów dodatkowych jak, pisywanie artykułów itp. Zależnie od tego czem kogo szczodry Pan Bóg obdarzył. Jeżeli niczem, to inwestycje pokrywa się z wciąż rosnącego zadłużenia. Rzecz zrozumiała, że jeśli do takiego budżetu wchodzą inwestycje, to nie ma miejsca na takie luksusy jak choroby względnie vice versa. Wszelkie bowiem lekarstwa, wizyty u lepszych lekarzy, itp. nie mieszczą się w tym budżecie. Wtedy budżet zostaje zwichnięty raz na zawsze i tak gruntownie, że z zadłużenia przeciętny śmiertelnik wyjść nie może. Wydawałoby się, że skoro ubezpieczony płaci składkę w wys. zł. 11.41 miesięcznie, może chorować „za darmo". Szkodliwe złudzenie; bowiem np. leczenie zębów z zasady kosztuje w ubezpieczalni drożej niż prywatnie. W wypadku choroby wszystkie skuteczne lekarstwa trzeba kupować, gdyż ubezpieczalnia daje tylko najtańsze, co nieraz jest synonimem ich nieskuteczności. Tem nie mniej skłonni jesteśmy uważać, w świecie pracowników umysłowych, *cytowany budżet za zrównoważony,* i to nie tyle ze względu na wysokość poborów ile ze względu na możność dodatkowego zarobku na opędzenie potrzeb inwestycyjnych i wydatków nadzwyczajnych.

Jeśli chodzi o inne pozycje budżetu, wydają się konieczne następujące wyjaśnienia. Oszczędzanie w formie wkładek na książeczki premiowe ma tę „dogodność" dla oszczędzającego, że podjęcie zaoszczędzonych kwot stanowi znaczne trudności. Powiązane ono jest ze zlikwidowaniem książeczki, co wraz z grozą niedopuszczenia do losowania w przypadku nie opłacenia składki zmusza do systematycznego oszczędzania. Poza tem możność wygrania premii odpowiada naszemu loteryjno - emerytalnemu światopoglądowi. Znamienne jest jednak, że w wyniku „kapitalizacji" po 10-ciu latach rodzina będzie miała aż 1600 zł.

Wydatek na mieszkanie może się wydać zbyt duży, bo sięga 25% poborów netto. Pytanie jednak czy w tym względzie nawet bezrobotni nie żyją w Polsce nad stan. Rzecz bowiem sprowadza się do głodu mieszkaniowego i nadmiernej drożyzny mieszkań, szczególnie średnich i najmniejszych.

Pod koniec wywodów p. b. w. wzywa do walki z życiem nad stan, z utartymi przesądami i złemi tradycjami. Znowóż jeśli to wezwanie jest skierowane do szczytów hierarchji społecznej — zgoda. Dodalibyśmy tylko jeszcze wiele innych wezwań, na które tu nie ma miejsca. Natomiast jeśli wezwanie ma dotyczyć „przeciętnych budżetów", to jesteśmy zdania, że najprzód musi się odbyć walka o podniesienie stopy dochodowej najszerszych warstw społeczeństwa o wysokie budżety, a później przyjdzie czas na uwagi co do sposobu zużytkowania nadwyżek budżetowych.

Autor kończy swe wywody tymi słowy: „zagospodarowujący się człowiek w zagospodarowującym się Państwie — oto hasło, którego realizacja da Polsce i jej ludności kolosalne nowe i trwałe wartości".

Hasło piękne lecz musimy zwrócić uwagę na to, że zagospodarowujące się Państwo stało się możliwe dopiero z chwilą zrównoważenia budżetu, tzn. z chwilą znalezienia nadwyżek, po zaspokojeniu sztywnych wydatków konsumcyjnych. Tak samo musi być z zagospodarowującym się człowiekiem. Najpierw trzeba zaspokoić jego (minimalne zresztą) potrzeby konsumcyjne, pozwolić mu na stworzenie nadwyżek budżetowych na inwestycje. Wtedy nie trzeba będzie wzywać o lepsze gospodarowanie bo ono przyjdzie samo, jako że stanowi najżywotniejszą potrzebę każdego człowieka współczesnego, posiadającego silny zmysł własności prywatnej. Nie wchodzę w to czy instynkt ten jest przyrodzony czy też nabyty w drodze wychowania, wystarcza, że skłonił on chłopów w dobie przeżywanego obecnie ożywienia gospodarczego do renowacji urządzeń i spłaty zadłużenia, podatków — kosztem nie zwiększania spożycia pomimo wzrostu przychodów.

a. k.

NOTATKI

ZGROZA W „GOSPODARCE"

„Słowo" wileńskie, zawiadamiając swych czytelników o wystąpieniu kol. Czesława Bobrowskiego z Klubu Gospodarki Narodowej i o sporach w łonie Klubu, toczących się przedewszystkim pomiędzy kol. Bobrowskim a Krzyczkowskim, ujawniło rozłam jaki „nastąpił" w Gospodarce Narodowej. Staraliśmy się ukryć przed opinią zarówno powyższy fakt, jak i szereg innych, równie gorszących zjawisk. Skoro jednak został on wykryty przez ruchliwego reportera „Słowa", uważamy za bezpieczniejsze dla nas ujawnienie całej prawdy.

To, o czem doniosło „Słowo", jest tylko słabym cieniem owej całej prawdy: Przeżywamy w Klubie Gospodarki Narodowej zjawisko masowych secesyj i masowych sporów. Z Klubu Gospodarki Narodowej „wystąpili" — w tym sensie jak kol. Bobrowski — wszyscy bez wyjątku jego członkowie. Klub Gospodarki w tym stanie rzeczy składa się właściwie tylko z inkasenta i woźnego. Nazwiska zamieszczone na pierwszej stronie pisma „Gospodarka Narodowa", które naiwny czytelnik, opierając się na naszych informacjach, mógłby uważać za nazwiska członków Klubu stale współpracujących w piśmie, są tylko pseudonimami autorskimi. I tak np. pod pseudonimem Czesława Bobrowskiego, który jak wiadomo z Klubu Gospodarki wystąpił, pisuje szereg różnych panów — bynajmniej do Klubu nie należących.

Sam fakt secesji byłby mniej dotkliwy, gdyby nie jego geneza, której nie możemy określić inaczej, jak walką wszystkich przeciwko wszystkim. Co więcej, walka ta przybrała formy tak gorszące, że gdyby nie smutna konieczność w postaci zdekonspirowania nas przez „Słowo", nigdy nie zdecydowalibyśmy się ujawnić szczegółów. Dowolny temat, każdy temat jaki powstanie w Klubie G. N. — rodzi natychmiast różnice zdań. Wybuchają straszliwe spory na temat publikowanych przez P. I. M. przepowiedni meteorologicznych; każda nowa publikacja — nie wykluczając książek kucharskich — staje się tłem do nowego rozłamu, do nowego rozbicia na grupy. Zrezygnowaliśmy nawet z myśli szukania porozumienia w grupie Gospodarki na drodze urządzenia pojednawczego bankietu. Jasnym było bowiem, że w atmosferze rozłamowej nawet ta okazja zaostrzyć może tylko sytuację. Już sama kwestia menu musiałaby przecież w tych warunkach stworzyć rozbicie Gospodarki na szereg grup: na grupę radykałów, zwolenników wiśniówki z racji jej czerwonego koloru; grupę drobno - rolników, zwolenników żytniówki; grupę elitarną, proponującą czystą wyborową; grupę wielkokapitalistyczną, wypowiadającą się za luksusową i grupę wielkorolną, głosującą za żubrówką. Co więcej, musielibyśmy się liczyć w tym wypadku z wystąpieniem zwolenników osi Rzym - Berlin, propagujących reńskie z Vermouthem.

Wspomnieliśmy wyżej, że poza faktem sporów wewnątrz grupy i forma tych sporów skłaniać musi nas do głębokiego ubolewania. Przez stadium dyskusyj doktrynalnych, poprzez stadium spraw honorowych, doszliśmy wreszcie do stadium, którego nie odważylibyśmy się nazwać po imieniu. I co najokropniejsze, to to, że na tle walk wewnętrznych w Gospodarce doszło do tragedii. Prawdziwy duch opiekuńczy Gospodarki Narodowej — rozjemca we wszelkich sporach — kol. Franciszek Kozłowski uległ w czasie dyskusji złamaniu podstawy czaszki i po dłuższych cierpieniach zmarł. Gospodarka Narodowa starała się to ukryć, co było tem łatwiejsze, że bogata teka pośmiertna tego wybitnego ekonomisty pozwoli nam jeszcze przez dłuższe miesiące publikować jego prace w „Gospodarce Narodowej". Jednak pilny czytelnik Kuriera Warszawskiego za kilka ostatnich kwartałów zwrócił napewno uwagę na skromny nekrolog ofiary tych gorszących zajść w Gospodarce Narodowej. Przemówienie na pogrzebie kol. Kozłowskiego wygłosił kol. Grzegorz Turowski, co jak wiadomo czytelnikom Słowa jest pseudonimem kol. Czesława Tupowskiego.

Gdyby reporter „Słowa" przed zamieszczeniem wzmianki o rozłamie i sporach w Gospodarce Narodowej zechciał się zwrócić do nas o bliższe informacje, to nie ukrywając dłużej prawdy, zakomunikowalibyśmy mu wszystkie wyżej opisane szczegóły. „Słowo" miałoby wtedy okazję do zamieszczenia na swych łamach wiadomości równie prawdziwych, jak ta wzmianka, która ukazała się w nr. 346 z dnia 15 XII. b. r., a znacznie, znacznie barwniejszych...

CZY∠BY?...

W okresie trudności budżetowych jakiś dowcipniś powiedział, że podejmuje się zapełnić deficyt budżetowy w bardzo prosty i bezbolesny sposób, dyskontując tylko snobizm ludzki. Projekt jego polegał na ustanowieniu odpowiednio atrakcyjnego orderu i masowym „dekorowaniu" tych wszystkich, którzy... tego będą chcieli. Wystarczy tylko wyłożyć dostatecznie wysoką sumkę, aby otrzymać „odznaczenie". Kwota wpłat byłaby różnicowana wedle zamożności i snobizmu (czytaj głupoty) kandydata do „orderu". Widocznie snobizm w Polsce był wysoko szacowany. Projektodawca nie był posłem ani Ministrem nie wniósł projektu ustawy do sejmu. Nie był też publicystą więc nie spopularyzował idei w społeczeństwie. A może nie traktował sprawy poważnie? Jedno jest pewne. Nie myślał wtedy przed laty, że z czasem jego projekt, acz w nieco odmiennej formie, nabierze realnych kształtów.

Jesteśmy właśnie świadkami wniesienia do sejmu projektu ustawy o medalach za długoletnią służbę. Wprawdzie budżet mamy zrównoważony, więc nie bezpośrednio dla jego załatania ustanawia się odznaczenie. Tem niemniej trudno oprzeć się wrażeniu pośredniego związku pomiędzy odznaczeniem a budżetem. Od czasu bowiem ustalenia podatku specjalnego, budżet jest w znakomitej mierze zrównoważony kosztem tych właśnie, dla których ustala się teraz medal. W ten sposób niejako chce się wynagrodzić płatnikom dwu „dobrowolnych" pożyczek i jednorocznego (w wieku lat trzech) — podatku, ich ofiary na

rzecz budżetu. Poza tem odznaczeni medalami mają je wykupywać na własny koszt. Po dostarczeniu mi odpowiednich danych, podejmuję się obliczyć: ile odznaczeni wpłacą za medale, ile będzie kosztował druk dyplomów wraz z papierem, ile wyniesie koszt bicia medali, ile kosztuje obywateli płacących podatki czas, stracony przez zajmujących się tym zagadnieniem na opracowanie ustawy, przedyskutowanie jej w parlamencie, postawienie wniosków na odznaczenie i wreszcie samo dekorowanie „długoletnich". Oświetlając tedy rzecz od strony gospodarczej (do czego zmusza mnie charakter pisma) — muszę stwierdzić, że pomysł nie należy do szczęśliwych. Sądząc zaś sprawę wedle reakcyj i nastrojów — „mający być odznaczonymi" wcale nie entuzjazmują się projektem. Twierdzę, iż daleko wyżej oceniliby podwyższenie zarobków. Widocznie wśród szarej masy urzędniczo-pracowniczej brak jest snobów. Kto wie czy przyczyną tego nie jest szczupłość ich zarobków. Nie stać ich na snobizm. Gdybyśmy więc zdyskontowali wyżej wymienione koszty, związane z medalami i... ustalili order wedle projektu dowcipnisia, o którym wspominaliśmy na wstępie, może wówczas z tak zmobilizowanych środków powstałby fundusz na rzeczywiste wynagrodzenie krzywd sferom pracowniczym.

Trudno nie przyznać racji tym posłom, którzy wskazywali na problematyczną wartość medalu dla oczekujących poprawy bytu. *Moralną satysfakcję ci ludzie już otrzymali bez medalu, gdyż mają świadomość, że zrównoważony budżet jest w dużym stopniu zasługą ich obywatelskiego stanowiska.*

p. k.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.